

## **25 sierpnia. Późnym wieczorem**

Rozdygotaną ze zgrozy ręką kreślę dzisiejszy wpis, opowiadając o zbyt potwornych wydarzeniach, aby można było pisać o nich ze spokojem. Trwający od jakiegoś czasu dziwny marazm w opactwie wieszczył coś okropnego, ale nigdy nie spodziewałbym się takiego obrotu zdarzeń.

Po porannej mszy, gdy tłumnie wychodziliśmy z kościoła, brat Armand podszedł do mnie, gdy rozmawiałem z Juanem i Alejandrem. A że chciał ze mną mówić na osobności, obaj nowicjusze odeszli pospiesznie, jakby nie tyle chcieli zostawić nas samych, ile raczej zejść bratu Armandowi z oczu. I to szybko.

– Antonio, podjąłem decyzję co do kary dla ciebie – rzucił sucho mistrz.

Wstrzymałem oddech. Głos miał chłodny i chyba naprawdę smutny. Przełknąłem ślinę.

– Rozmawiałem już z *padre* Torquemadą i zgodził się, że otrzymasz znów chłostę – mówił dalej mistrz. – Cięższą niż ostatnia. Cięższą nawet niż ta dla Alejandra, więc przygotuj się do niej także, a może przede wszystkim duchowo. – Popatrzył na mnie z upomnieniem w oczach i niewypowiedzianym nakazem.

Zrobiło mi się zimno, bo słowa brata Armanda zabrzmiały, jakbym miał jej nie przeżyć.

– Ojczy, dlaczego tak surowa kara? – zapytałem, niewiele myśląc, bo naprawdę czułem już przerażenie.

– Bo wydaje mi się, że łagodniejsza nie odniesie skutku – odpowiedział twardo mistrz. – Próbowalem z tobą rozmawiać po dobroci, próbowałem łagodnej perswazji, ale to na nic. Nic do ciebie nie trafia, więc może faktycznie trzeba tobą

potrząsnąć, żebyś zrozumiał. Jesteś tu nikim, Antonio – mówił zimno. – Nowicjusze nic nie znaczą. Twoim obowiązkiem jest bezwzględne posłuszeństwo, a przecież chyba nie wymagam nadludzkich rzeczy. A ty nie tylko, że masz gdzieś to, o co cię proszę, ale gardzisz mną i nienawidzisz, siebie samego uważając za pana. Nie wiem, kto cię tego nauczył, ale popełniasz ciężki grzech, Antonio. Moim obowiązkiem jest cię zawrócić z tej niewłaściwej drogi, zanim będzie za późno. Ta chłosta to dla ciebie ostatnie ostrzeżenie. Później zostaniesz relegowany z klasztoru, jeśli i ona nie poskutkuje.

Serce uderzało mi tak głośno, że chyba słyszało je całe opactwo, a przynajmniej tak mi się wydawało. Pomyślałem, że nie przeżyję tej chłosty. Nadal mam na plecach świeże, różowawe blizny po ostatniej karze, a jeśli teraz zarządzą nową chłostę ponad pięćdziesiąt uderzeń, które dostał Alejandro, na plecach nie pozostanie mi skrawek zdrowej skóry. Przeszły mnie ciarki na samą myśl o bólu, jaki przyjdzie mi wycierpieć...

– Ojczy, proszę, tylko nie chłosta! – Chwyciłem oburącz brata Armanda za przedramię. – Nie taka chłosta! Błagam, zamień tę karę na cokolwiek innego!

Spojrzał na mnie wzrokiem pozbawionym emocji.

– Przykro mi, Antonio. To już postanowione – oznajmił.

– Nie przeżyję tego! – mówiłem rozgorączkowany, czując, jak coraz bardziej dławi mnie strach. – Błagam cię, ojczy, odwołaj to. Błagam...

Brat Armand cofnął rękę.

– Powiedziałem już ostatnie słowo – rzucił lodowato. – To są konsekwencje twojego zachowania. Trzeba było myśleć, kiedy byłeś nieposłuszny. – Odszedł krok, jakby chciał udać się do swojej celi.

Padłem na kolana, czując, jak paraliżuje mnie gorący strach, który rozchodził się z serca do grzbietu i ramion.

– Ojczy, proszę... – Po policzkach ciekły mi łzy. – Ja nie chciałem wtedy mówić tego wszystkiego. Wcale tak nie myślę... – Trzęsły mi się dłonie, a gardło dławił szloch.

Na szyi zaś czułem ohydny, gorący oddech nieodwołalnego...

– Nie? – powtórzył za mną brat Armand, podchodząc bliżej. – Czy to przypadkiem nie ty z Juanem i Alejandrem nazywacie mnie złośliwie Archaniołem? Czy to nie wy naśmiewacie się ze mnie i krytykujecie mnie i przeora za plany Nowej Inkwizycji? Czy to nie ty, Antonio, wypytujesz o mnie braci, grzebiąc w mojej przeszłości, szukając sensacji albo Bóg wie czego? Czy to nie ty mnie podsłuchiwałeś albo i nadal to robisz? Czy to nie ty mnie nienawidzisz? – mistrz grzmiał i jego twarz była wzburzona. – Czyż nie, Antonio? Odpowiedz!

Zapadła cisza. Wszystko, o czym mówił mistrz, było prawdą.

– Nie robiłem tego złośliwie, *padre*... – powiedziałem cicho ze spuszczoną głową. – Jeśli cię uraziłem, przepraszam.

– Za późno na przeprosiny – odpowiedział chłodno mistrz. – Ale przyjmuję je, nawet jeśli płyną tylko ze strachu przed karą. Nie zmieniają jednak mojej decyzji. Kara będzie wykonana dziś po nonie.

Spojrzałem nań, jak stał nade mną nieugięty.

– Ojczy, nie musisz tego robić... – powiedziałem, nadal klęcząc.

Gasła we mnie nadzieja z każdym wypowiedzianym przez mistrza słowem. Na samą myśl, że go nie przekonam, ogarniało mnie przerażenie.

– Nie. Nie muszę – przyznał mistrz spokojnie. – Ale chcę. – W jego oczach był lód i próżno szukałbym tam współczucia czy litości.

A potem brat Armand odwrócił się i odszedł, zostawiając mnie na placu przed fontanną klęczącego na chochlakach i osłupiałego tym, co przed chwilą tu zaszło.

Naraz poczułem, że nie mam czym oddychać, że coś zaciska pętlę na moim gardle i za chwilę zabraknie mi powietrza. Obraz zmasakrowanego Alejandra zwieszającego się bezwładnie z haków przybitych do dzwonnicy uparcie pojawiał mi się przed oczami.

– To niemożliwe... – szeptałem do siebie, nie mogąc zrozumieć, jak można być tak okrutnym człowiekiem jak mój mistrz!

Wolno podnosiłem się z kolan, ale czułem, że mi słabo. Oparłem się o reling fontanny, a potem przemyłem sobie twarz tryskającą z niej wodą. Serce dudniło mi w piersi, piekły mnie policzki, kręciło mi się w głowie.

Boże, zmiłuj się nade mną!... – pomyślałem. – Zmiłuj się, bo oszaleję ze strachu. A strach mnie palił. Od środka. Gorącym, wstrętnym płomieniem. Nie było ani jak przed nim uciec, ani dokąd, a wzmagał się z każdą chwilą, im bliżej godziny karni byłem. Bo to miała być karni. Nie kara. Karni...

Rozejrzałem się po zalanym słońcem pustym dziedzińcu, ale znikąd nie mogłem przecież spodziewać się ratunku. Dokąd miałem teraz pójść? Z kim rozmawiać w sprawie łaski? Gdzie lub u kogo się ukryć?

Pierwszą moją myślą była ucieczka. Z opactwa. Pełniłem akurat na własną prośbę z Mateo dyżur w szpitalu, zatem nic prostszego. Nikt nie spodziewa się, że przyjdzie mi coś takiego do głowy, a już na pewno nie dumny i bezwzględny brat Armand. Ani on, ani przeor, który stoi przecież za decyzją mego mistrza, nie biorą takiej możliwości pod uwagę. Tylko dokąd pójść? Przecież nie do domu rodzinnego! Ojciec chyba by mnie zabił, gdyby mnie zobaczył w drzwiach, więc w zasadzie bez różnicy, kto mnie pozbawi życia: brat Armand pod razami kata czy rodzony ojciec z wściekłości za złamanie przysięgi danej Bogu. Jeśli pójść w miasto, w noc, przed siebie przez równiny Kastylji, cóż będę robił? Z czego żyć, jeśli nie mam żadnego fachu w ręku, bo całe życie przygotowywano mnie do posługi Bogu? I czy gotów jestem, aby unieść ten grzech: wiarołomstwa i sprzeniewierzenia się woli rodziców i Boga? Nie. I choć pomysł ucieczki pierwszy przyszedł mi do głowy, to od razu wiedziałem, że jest niedorzeczny. Zatem nie pozostawało mi nic innego jak zmierzyć się z karą chłosty i wolą mistrza, który od jakiegoś czasu z dnia na dzień staje się coraz bardziej skostniały, zimny, daleki myślami, pozbawiony litości i okrutny. Kiedy go poznałem, był jeszcze innym człowiekiem, chociaż znajdował się już na dobrej drodze do tego, kim jest dzisiaj. Torquemada go indoktrynuje, wykrzywia mu umysł i duszę, lepiąc z nich twardego, bezwzględnego, potwornego sędziego-inkwizytora. A to dopiero początek drogi dla Inkwizycji. Co będzie dalej?...

Zrezygnowany, przestraszony i zdezorientowany usiadłem na chochlakach alejki w cieniu rzucanym przez fontannę. Nie miałem już nic do roboty, może poza rachunkiem sumienia, nie miałem dokąd iść. Cały mój dotychczasowy świat skończył się po nonie i nie potrafiłem sobie wyobrazić ani jednej chwili, która nastąpiłaby później, po chłości. Albo nie chciałem jej sobie wyobrażać...

Podszedł do mnie Mateo, aby iść razem do szpitala, a usłyszawszy, co się święci, strasznie się zdenerwował. Chciał nawet iść do brata Armanda i z nim rozmawiać, ale przecież i tak absolutnie nic by to nie dało. Poprosiłem go, aby poszedł sam do szpitala, bo wiedząc, że będzie tam mój mistrz, nie chciałem się z nim widzieć, ale Mateo siłą postawił mnie na nogi.

– Zajmij się robotą, bo do wieczora zwariujesz! – rzucił rozkazująco. – Skoro nie da się odwołać tej kary, postaraj się o niej nie myśleć. A złu wychodź naprzeciw, a nie chowaj przed nim głowę. – To mówiąc, otrzepał mi kutę z piasku. – Pokaż bratu Armandowi, że się go nie boisz. To dla niego będzie najgorsza obelga. Przecież on po to właśnie zarządził tę karę, aby cię zastraszyć, zaszczyć! Jeśli nie okażesz strachu, jego plan się nie uda. Nie będzie już taki pewny siebie i dumny. Poza tym jako jego ofiara masz nad nim przewagę moralną. I on o tym wie. Każdy stanie po twojej stronie.

Słuchałem słów Mateo, które dodawały otuchy. Nic jednak nie zmieniały w tym, że każn się odbędzie.

– To nic nie zmieni... – powiedziałem cicho. – On i tak mnie złamie. Już to zrobił... Wieczorem tylko zatriumfuje...

Mateo zmarszczył czoło.

– Do wieczora szmat czasu – powiedział. – Wszystko się jeszcze może zmienić. Może przekonamy brata Armanda w szpitalu? Chodź! – Pociągnął mnie za ramię w stronę furty.

Ruszyłem za nim, nieco się ociągając.

– Tu się nic nie może zmienić! – rzuciłem z wyrzutem, patrząc w niebo. – Nikt bratu Armandowi się nie sprzeciwi. I nic na tym świecie nie zmieni mojego dzisiejszego losu! Nie ma takiej siły! – Roześmiałem się ciężkim, spastycznym śmiechem, w którym nie było ani krzty prawdziwej radości.

Poszliśmy obaj do szpitala.

Gdybym w tamtej chwili wiedział, jak bardzo prorocze były moje słowa, ugryzłbym się w język! Ale skąd mogłem przypuszczać, co gotował los bratu Armandowi, mnie i całemu opactwu?!

Oczywiście w szpitalu mistrz mój zachowywał się tak, jakby naszej porannej rozmowy w ogóle nie było. Tylko Mateo rzucał mu długie, wymowne spojrzenia, które brat Armand zupełnie ignorował, o ile w ogóle je zauważał. Potem zaś pracujący z nami w szpitalu brat Constantino poszedł przygotować kościół do nabożeństwa na Anioł Pański, zaś patron mój także za chwilę wyszedł w stronę opactwa, każąc mi sobie towarzyszyć, co też uczyniłem. Mateo został jeszcze kilka minut, żeby skończyć zmianę bandaży u kobiety z odciętą ręką.

Mistrz nie odzywał się całą drogę do furty Santa Cruz, ale od czasu do czasu spoglądał na mnie uważnie. Ja zaś, za radą Mateo, starałem się nie dać po sobie

poznać, jak bardzo boję się tej chłosty, ale było to szalenie trudne. Tylko Archanioł mógł wiedzieć, czy mi się to udawało.

– Ojcie... – odezwałem się pierwszy. – Na wypadek, gdybym... Gdybym dzisiaj... No, wiesz, ojcie... – Ledwie mówiłem ze strachu. – Jeśli się stanie najgorsze, przebacz mi. Chcę stanąć przed Bogiem z czystym sumieniem – dokończyłem prawie szeptem.

Brat Armand popatrzył na mnie zakłopotany.

– Wybaczyłem ci już, Antonio – powiedział. – I nie pozwolę ci umrzeć. Nie chcę cię zabić, na Boga, ale czegoś nauczyć! Nadal więc widzisz we mnie tylko zło... – Zastanowił się. – Powiedz, czemu mi się nie udaje z tobą porozumieć?

– Wybacz mi, ojcie – powtórzyłem. – Inaczej już nie potrafię. Ktoś, kto nosi w sobie dobro, nie zarządziłby tej karni...

Mistrz westchnął i dłuższą chwilę nic nie mówił, a gdy się w końcu odezwał, usłyszałem w jego głosie determinację:

– Najbardziej skutecznym lekiem jest ten, który jest najbardziej gorzki.

– Strachem nie zmusisz mnie, ojcie, do szacunku dla ciebie – powiedziałem. – Choćbyś zarządził i dziesięć takich kar, to nie zmienisz tego, że widzę w tobie zło. Tylko utwierdzasz mnie w tym przekonaniu. A nie możesz się ze mną porozumieć, bo mnie nie słuchasz, ojcie – mówiłem dalej ze smutkiem. – Słuchasz tylko siebie. Kochasz tylko siebie i swoich pacjentów. A każdego, kto jest inny niż ty, chciałbyś wytresować. Ale to tak nie działa. Przyglądając ci się wielokrotnie w szpitalu, często myślałem, że pomimo tej skorupy na wierzchu, w środku nosisz w sobie dobro, esencję dobra. Dzisiaj widzę w tobie tylko zło. I nigdy już tego nie zmienisz, ojcie. Nie ma nic na świecie, co przekonałoby mnie, że jest inaczej. I współczuję już dziś każdemu, kto wpadnie w twoje ręce, gdy będziesz, ojcie, inkwizytorem. Cieszę się, że mnie wówczas nie będzie w twoim otoczeniu – zakończyłem cicho i nawet zastanawiało mnie, dlaczego zamiast się denerwować, czułem spokój.

Jakbym wcale nie mówił tych słów do Wielkiego Archanioła, który, i tego byłem pewien, za każde z tych zdań gotów był mnie ukamienować.

– Bardzo gorzkie są twoje słowa, Antonio. – Ku memu zdumieniu brat Armand powiedział to również spokojnie, choć zazwyczaj za mniejsze rzeczy unosił się i krzyczał. – Widzę, że porozumienie między nami w ogóle nie jest możliwe... – Zamyślił się i spojrzał na mnie chłodno i z jakąś boleścią w oczach. – Mimo to chłosta i tak się odbędzie.

Kiwnąłem głową.

– Zatem to tylko odwet – rzuciłem. – Nie żadna nauka dla mnie i dla pozostałych nowicjuszy. Czysta zemsta, bo uraziłem dumę Wielkiego Armanda! – Uśmiechnąłem się ironicznie.

– Zapominasz się, Antonio! – upomniał mnie mistrz tonem nakazującym mi milczenie.

– Nie zapominam się, ojcie – powiedziałem z odwagą w sercu, jakiej przy nim nigdy dotąd nie czułem. – Dokładnie to chciałem ci powiedzieć. Zarządź więc uderzeń batem za to, jeśli musisz. Albo mnie tu zabij. Jest mi wszystko jedno.

Pogodziłem się z moim losem. I mam dość takiego życia w strachu przed tobą. Wolę umrzeć, niż żyć tak dalej. – Umilkłem i czułem się szczęśliwy.

Nie tyle dlatego, że wreszcie powiedziałem mu to, na co zasługiwałem, aby usłyszeć, ile dlatego, że przestałem się bać tej chłosty. Co mnie tu, w Santa Cruz, mogło czekać lepszego? Nowicjat u brata Armanda gehenną jest, nie radością, udręką i zniewoleniem. Chyba nawet piekło musi być lepsze niż te trzy niespełna miesiące u boku mego mistrza. To właśnie było piekło. Na ziemi.

Brat Armand nie odezwał się na moje słowa, co także mnie zaskoczyło. W ogóle ta z nim rozmowa była inna niż wszystkie dotąd i zacząłem się nawet zastanawiać, czy Mateo nie miał racji i czy mistrz mój rzeczywiście nie chciał mnie tylko zastraszyć, a widząc, że jego metody skutku oczekiwanego nie odnoszą, uznał, że poniósł porażkę, i przestał je stosować. Szkoda, że w naszych relacjach musieliśmy zejść tak daleko, żeby zacząć się w ogóle porozumiewać. O ile ten chłodny spokój można nazwać porozumieniem.

Weszliśmy w furtę Santa Cruz. Było jeszcze kilkanaście minut do południa, ale brat Armand kroki swoje skierował od razu w stronę kościoła, a ponieważ nie zwolnił mnie z obowiązku towarzyszenia sobie, szedłem obok niego. W ciężkim milczeniu.

Gdy mijaliśmy fontannę, podszedł do nas przeor, idący na nabożeństwo od strony swego gabinetu. Ukłoniłem mu się grzecznie, ale w sercu czułem obrzydzenie, bo wiedziałem, że jest on *spiritus movens* zarządzenia kary chłosty.

– Bracie Armandzie – zaczął przeor, gdy byliśmy obok dzwonnicy – pomyślałem, aby datek od Królowej przeznaczyć na wybudowanie nowej dzwonnicy. – Zatrzymał się w rzucanym przez nią cieniu, my również. – Jest już stara i bardzo zniszczona. Chcę postawić na jej miejscu nową, murowaną, podobną w stylu do naszego kościoła.

– Zgadzam się, *padre* – przytaknął mój mistrz. – Ta ledwie wytrzymuje ciężar dzwonów. – Popatrzył w górę. – Galeryjka i dach są przegnite. W dziurach po brakujących dachówkach gnieźdzą się ptaki. Nie ma co zwlekać, trzeba ją zburzyć.

I dobrze! – pomyślałem. – Zniknie miejsce wykonywania egzekucji. Przynajmniej dopóki nie wybiorą innego.

– Zastanawiałem się, bracie Armandzie – mówił dalej przeor – czy zamówić nowe dzwony, czy stare są jeszcze dobre i nam posłużą. Nie chciałbym wydawać pieniędzy Królowej nazbyt rozrzutnie. – Spojrzał wymownie na mego mistrza. – Dlatego pomyślałem sobie, że warto byłoby je obejrzeć. Zobaczyć, w jakim są stanie.

Teraz wszyscy trzej zadzieraliśmy głowy i patrzyliśmy na wiszące w górze dzwony, których stopnia zniszczenia z dołu i tak nie sposób było ocenić.

– Oczywiście, *padre* – odpowiedział po chwili mój mistrz. – Po nabożeństwie porozmawiam o tym z bratem Constantino...

– Armandzie – przerwał mu brat Torquemada – wolałbym, abyś zajął się tą sprawą osobiście. Jesteś dokładny i nikt tego nie sprawdzi tak jak ty. Mam do ciebie pełne zaufanie. I tylko do ciebie – ostatnie zdanie dodał prawie szeptem i znów spojrzał wymownie na mego mistrza.

– Oczywiście. – Brat Armand skłonił głowę. – Zajmę się tym zaraz po nabożeństwie. Z galeryjki powinno być dobrze widać obydwaj dzwony.

– Dobrze. – Przeor ruszył w stronę kościoła, a my za nim. – Będę na ciebie czekał potem w swoim gabinecie. Musimy porozmawiać.

– Tak, ojcze – odpowiedział brat Armand.

Trochę dziwnie się czułem, słuchając tego wszystkiego. Obaj z przeorem traktowali mnie jak powietrze, co także było nieprzyjemne. I w zasadzie nie jestem sobie teraz w stanie odpowiedzieć, dlaczego stałem wraz nimi pod dzwonnicy i słuchałem tej rozmowy! Gdybym tylko wiedział, co z tego potem wyniknie, pobiegłbym co tchu do kościoła albo gdziekolwiek indziej, byle tylko nie być świadkiem tego, o czym rozmawiali!

W drodze do kruchty kościelnej minął nas brat Constantino zmierzający w stronę dzwonnicy, aby wezwać wszystkich na modlitwę. Rzucił przelotnie memu mistrzowi swoje pełne nienawiści spojrzenie, ale zrobił to w taki sposób, że brat Armand się nie zorientował. A potem uśmiechnął się do nas i poszedł dalej zadowolony. Przestałem się już przejmować takim jego zachowaniem. Za chwilę też rozdzwoniły się dzwony na Anioł Pański.

Nabożeństwo było dziś wyjątkowo krótkie albo mnie – skazanemu na tę straszłą, krwawą kaźń – czas płynął wyjątkowo szybko. Ale najgorsze wydarzyło się po modlitwach. Coś, co przeraziło cały klasztor, a mnie skazało na los, o którym boję się nawet pomyśleć, że będzie znacznie gorszy od chłosty, którą mieli na mnie wykonać.

Gdy wyszliśmy z kościoła, a wychodziłem z bratem Armandem, który z niewiadomego powodu kazał sobie bez przerwy towarzyszyć, mistrz mój podszedł do dzwonnicy i otworzył na oścież drzwi prowadzące do jej wnętrza. Buchnął stamtąd straszny zaduch, a po chwili brat Armand odprawił mnie dość chłodno i wszedł do środka. Natychmiast odwróciłem się na pięcie i odetchnąłem z ulgą. Postanowiłem iść do swej celi i napisać list do rodziców. Korespondencja z rodziną w nowicjacie jest zabroniona, ale ja chciałem napisać ten list na wypadek, gdyby brat Armand zakatował mnie dziś na śmierć. Przemierzając dość wolno i w skupieniu dziedziniec, myślałem o tym, co im napiszę, jak to wszystko wyjaśnię, te kłótnie z patronem i tę karę, aby zrozumieli, że nie tylko moja w tej sytuacji była wina. Wszedłem na schody naszego segmentu i stojąc na balkonie przed wejściem do korytarza, spojrzałem na dziedziniec. Zrobiłem to odruchowo, bo wydawało mi się, że kątem oka zobaczyłem po lewej mojej stronie jakiś dziwny blask. Widok, który ukazał się moim oczom, zmroził we mnie krew w żyłach. Dolna część dzwonnicy stała w płomieniach... W jej wnętrzu zaś był brat Armand...

Przeskakując po kilka stopni, zbiegłem ze schodów na alejkę, a potem w mgnieniu oka przemierzyłem dziedziniec i znalazłem się przy dzwonnicy. Rozejrzałem się wokół, szukając ratunku albo kogokolwiek z braci, aby mi pomógł, ale dziedziniec był jak wymarły. Podszedłem do drzwi, a raczej do kurtyny z płomieni, za którą znajdowały się kiedyś drzwi, ale od razu wiadomo było, że ich nie otworzę. Cofnąłem się kilka kroków, bo żar od ognia był za duży.

Płomienie szybko trawiły wysuszone na wiór upałami Hiszpanii drewniane ściany dzwonnicy. Myślałem o moim mistrzu, czy jeszcze żyje. I jakkolwiek do tej pory czułem, że go nienawidzę, teraz naprawdę zrobiło się go żal. Pomyślałem, że umarł potworną śmiercią, bo w płomieniach, o których tyle razy nam, nowicjuszom, opowiadał i nawet przyszło mi na myśl, czy to nie Bóg podpalił dzwonicę, by mistrza mego pokarać za pychę i Nową Inkwizycję. Jego i pośrednio brata Torquemadę, któremu odebrał ukochanego ucznia, protegowanego i może przyszłego jego następcę.

Stałem jak sparaliżowany na alejce prowadzącej z kościoła do fontanny i nie mogłem się ruszyć. Patrzyłem jak zahipnotyzowany na sięgające coraz wyżej płomienie i nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu. Obezwładnił mnie strach... Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Ale zdawałem sobie sprawę, że wobec tak niszczącego żywiołu żadne próby gaszenia dzwonnicy nie zdadzą się na nic.

I wtedy go zobaczyłem... Wyszedł na balkon, który galerijką otaczał całą górną część dzwonnicy. Brat Armand żył! Rozejrzał się szybko po dziedzińcu i jego wzrok padł na mnie. Ale zamiast wołać ode mnie ratunku, rzucił mi spojrzenie pełne nienawiści, które przygwoździło mnie tam, gdzie stałem. Otworzyłem usta, żeby do niego krzyknąć, aby spróbował skoczyć, ale huk płomieni i tak by mnie zagłuszył. Brat Armand zaś szybkim ruchem wszedł z powrotem do wnętrza dzwonnicy.

Boże, cóż on robi?! – pomyślałem. – Spali się żywcem, to pewne! Wydaje mi się, że już w tamtej chwili przez mą głowę przemknęła myśl, czy przypadkiem brat Armand, widząc mnie samego u stóp dzwonnicy, nie pomyśli, że to ja podłożyłem ogień, ale zaraz ją odgoniłem. Po cóż miałbym to robić?

Patrzyłem, jak ogień obejmuje pustą już galerijkę, a mimo to nadal nie krzychałem o pomoc. I gdybym miał odpowiedzieć dlaczego, nie umiałbym znaleźć przyczyny. Być może dlatego, że wydawało mi się, że brat Armand nie ma szans się uratować z tego piekła. A może podświadomie pozwoliłem mu umrzeć...?

W okamgnieniu, w ciągu zaledwie minuty, może dwóch, płomienie ogarnęły całą dzwonicę – od szerokiej podstawy po sam kwadratowy czubek zwieńczony łamanym dachem ze starych, drewnianych, wypłowiałych słońcem dachówek, na którego szczycie zatknięty był niewielki, prosty krzyż drewniany, tak samo zniszczony czasem jak cała reszta. Płomienie strzelały wysoko w górę, sięgając poziomu kościelnej iglicy, zaś czarny jak smoła słup kłębiastego dymu unosił się ku niebiosom. A że było bezwietrznie, leciał prosto, niczym smukła wieża gotyckiej katedry sięgająca hełmem nieba. Patrząc na jego zmieniające się kształty, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w tym dymie unosi się dusza brata Armanda, tak samo czarna od złych uczynków i przepełniona pychą życia, jak ten dym.

Naraz przyłapałem się, że w myślach bezwiednie od jakiegoś czasu odmawiam modlitwę *Requiem aeternam*<sup>21</sup>... Dla mojego mistrza. Za jego duszę... Odsunąłem się jeszcze kilka kroków, bo żar stał się nie do zniesienia i palił mnie w twarz. Płomienie trzaskały z hukiem, który przepełniał zgrozą. Bez wątpienia widać je było zza murów klasztornych, a słup czarnego dymu musieli też widzieć mieszkańcy Segowii.



W tym momencie pod dzwonnice nadbiegł Ricardo i zaczął krzyczeć na cały głos, że się pali. To mnie otrzeźwiło z osłupienia. Błyskawicznie.

– Brat Armand jest w środku! – starałem się przekrzyknąć płomienie, a Ricardo rzucił się do fontanny, choć przecież nie miał żadnego naczynia, w które mógłby nabrać wody.

Zresztą i tak było za późno. Ricardo obejrzał się na dzwonnice, która była już jedną wielką pochodnią.

– Boże... – wyjąkał, a ja raczej wyczytałem to słowo z jego ust, niż je naprawdę usłyszałem. – To niemożliwe...

Zewsząd zbiegali się mnisi z wiadrami, które zanurzali w wodzie na dolnym poziomie fontanny. Szybko też ustawiliśmy się w szereg i podajac sobie nawzajem wiadra z wodą, usiłowaliśmy ugasić ów potworny żywioł. Ale daremnie! W okamgnieniu wśród braci rozeszła się wieść, że mistrz mój jest wewnątrz dzwonnicy. Bracia spoglądali po sobie przerażeni, lamentowali nad losem brata Armanda i dociekali, jak to się mogło stać.

Właśnie! Właściwie należałoby spytać, jak doszło do tej pożogi, jeśli nie był to grom z jasnego nieba?! Bo wykluczam całkowicie możliwość, że brat Armand mógłby sam siebie podpalić. Zbyt był zadowolony i dumny ze swego życia, zbyt wiele miał planów i marzeń, aby chcieć własnej śmierci! Zatem ktoś celowo podłożył ogień!... Myśl ta była tak straszna, że gdy przyszła mi do głowy, przeszedł mnie dreszcz.

Nie mogłem jednak dłużej się nad nią zastanawiać, bo bracia podnieśli lament, że dzwonnica się chwieje i że zaraz runie. Rozbiegliśmy się po dziedzińcu i patrzyliśmy, jak przepalone ściany ustępują pod ciężarem dwóch spiżowych dzwonów. Straszny to był widok, gdy dzwonnica runęła, przewracając się na stojące obok, nieduże drzewko cytrynowe i alejkę. Ciężkie zaś jej dzwony uderzyły z hukiem o reling dolnego poziomu fontanny, rozłupując go. Woda, która chlusnęła, rozlała się po dopalających się resztkach tego, co jeszcze kilka minut temu było dzwonnica, gasząc wątłe teraz i dogorywające na niej płomyki. Zgliszcza dymiły się jeszcze, gdzieniegdzie pojawiał się żar i ogień, ale jego języki nie miały już zbytnio czego trawić. Śwąd spalenizny zaś był uderzający.

Brat Armand nie żył... Nikt na świecie nie przeżyłby takiej pożogi. Jego zwęglone ciało leżało gdzieś przykryte zgliszczami. Każdy z nas się przeżegnał... Bracia pospuszczali głowy w milczeniu. Ricardo zaś podbiegł do szczątków dzwonnicy i zaczął gołymi rękami je rozgarniać. Robił to w zapamiętaniu, z zapłakaną twarzą, niemal w szale! Ale nikt z nas nie zareagował. Wszyscy staliśmy w osłupieniu, że do tej śmierci w ogóle doszło.

Przyznaję, że w tamtej chwili w ogóle nie docierała do mnie myśl, że brat Armand nie żyje. To znaczy wiedziałem, że pewnie tak jest, ale nie rozumiałem tego do końca. Byłem odrętwiały, przerażony tą tragedią i tym, że wszystko stało się tak nagle... W ciągu minut...

Z fontanny wciąż chlustała woda, rozlewając się na dopalające się zgliszcza, gdy nadbiegł przeor. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba brat Constantino podszedł

doń i powiedział cicho, że brat Armand nie żyje. Twarz brata Torquemady zrobiła się biała z wściekłości, bielsza niż kartka z mojego pamiętnika. Rysy wyostrzyły się jeszcze bardziej, zaś oczy płonęły straszonym, mściwym, wszechpochłaniającym ogniem, sto razy gorszym niż ten, który strawił dzwonnice. Zacisnął i tak wąskie usta i wszedł pomiędzy nas stojących naokoło zgliszczy. Niektórzy bracia uklękli i w ciszy modlili się z całą pewnością o duszę mojego mistrza.

Stanąłem obok Juana i Alejandra i chociaż się nie odzywaliśmy do siebie ani słowem, wiedziałem, że wszyscy trzej myślimy o tym samym: widać Bogu nie spodobał się pomysł utworzenia w Hiszpanii Nowej Inkwizycji Armanda i Torquemady i Bóg dał temu wyraz, zabijając jej twórcę w tak potworny sposób. Nie wiedziałem, czy Bóg pokierował czyjąś ręką, czy też zrobił to osobiście, ale to na pewno był On. Spojrzałem z wdzięcznością w piękne, bezchmurne niebo, co roztaczało się szeroko nad nami swą głęboko błękitną kopułą, czyniąc nas w tym momencie najbardziej samotną enklawą Hiszpanii.

Po tym pierwszym ataku wściekłości przeor, tak jak poprzednio Ricardo, rzucił się na gorące wszak jeszcze zgliszcza i miałem wrażenie, że zacznie je rozgrzebywać gołymi rękami w poszukiwaniu doczesnych szczątków brata Armanda. Parzyłem na to ze smutkiem i jakoś tak było mi przykro.

W pewnym momencie *padre* Torquemada padł na kolana tuż obok prawdopodobnych pozostałości galeryjki i ukrył twarz w dłoniach. Klęczał tak kilka minut w absolutnej ciszy, a potem spojrzął w niebo oczami pełnymi wyrzutu i złości i naraz niespodziewanie zerwał się na równe nogi. Odwrócił się od zgliszczy, a w jego twarzy na powrót widać było bezgraniczną wściekłość i żądzę zemsty. Straszliwej, potwornej zemsty, co pałała mu z oczu niemożliwym do ugaszenia pożarem za to, że ktoś lub coś zmarnowało wieloletnie, tak hołubione i tak ukochane dzieło jego życia w osobie mego mistrza. Tę gigantyczną, wprost nie do oszacowania dlań stratę, należało pomścić. Bestialsko i okrutnie. Ku przestrodze? Nie. Nigdy więcej nie pojawi się już ktoś taki jak Armand. Dla odwetu. Odwetu w absolutnej, czystej swej postaci.

Przerażający był to widok, o wiele gorszy niż płonąca przed chwilą dzwonnica! I przerażające było, co zamierza uczynić ten człowiek, by żądę swą zaspokoić na tyle, aby stwierdzić, że jest usatysfakcjonowany.

Przeor powiódł lodowatym wzrokiem po zgromadzonej braci zakonnej, a potem w milczeniu chodził pomiędzy nami i zaglądał nam głęboko w oczy tym swoim surowym, przenikliwym spojrzeniem, co przeszywało na wylot duszę i umysł. Zaglądał nam do sumień... Nie ulegało też wątpliwości, że liczył, że w ten sposób odkryje prawdę.

Ciarki mnie przechodziły po plecach, gdy na to patrzyłem, bo chociaż nie podpaliłem dzwonnicy, wiele razy w myślach życzyłem bratu Armandowi śmierci. A teraz on nie żył i chociaż nie z mojej winy, to miałem wyrzuty sumienia, że kiedyś źle o nim myślałem.

– Biada! – krzyknął nagle przeor, a ja aż podskoczyłem. – Biada temu, który to zrobił! – Stał w pobliżu zgliszczy i przebiegł wzrokiem po wszystkich zgromadzonych. – Dzwonnica nie podpaliła się sama! Zrobił to ktoś z was, drodzy bracia

dominikanie! Któryś z was podłożył ten ogień! – Wskazał palcem na dymiące się jeszcze resztki tego, co było dzwonnica.

Zastanawiałem się, skąd taka odważna konstatacja przeora i te oskarżenia, choć przyznaję, że i mnie myśl o zabójstwie pierwsza przysłała do głowy. Bo w Boską interwencję, choć w moim przekonaniu w pełni uzasadnioną, mimo wszystko jednak powątpiewałem. Jakkolwiek dobro Hiszpanii i ludu było sprawą najwyższej wagi, to nie sądzę, by Bóg mieszał się w nasze tu, błahe, klasztorne sprawy, podpalając naszą starą dzwonnica. To już prędzej Bóg natchnie papieża, aby nie powoływał w Kastylii Świętej Inkwizycji. Ale że był to znak od Boga, w to nie wątpiłem.

– Podnieście rękę na bliźniego! – grzmiał dalej *padre* Torquemada. – Na brata zakonnego, z którym tyle lat żyliście w tych murach! Złamaliście Boskie prawo i prawo tego państwa! Nie mogę zrozumieć, jakie powody wami kierowały ani czy w ogóle takowe były, ale przed zapadnięciem zmroku chcę znać nazwisko tego, który to zrobił! – powiedział to tonem rozkazującym, w którym kryła się niewypowiedziana groźba. – W przeciwnym wypadku karę poniesie cały klasztor, a ja osobiście dopilnuję, aby śledztwo w sprawie śmierci brata Armanda poprowadzili najlepsi królewscy prokuratorzy i sędziowie. Jeśli się nie przyznacie, poproszę Królową, aby wyraziła zgodę na przyjazd do Santa Cruz inkwizytorów z Aragonii. Oni odkryją prawdę – zakończył z lodowatym przekonaniem.

Na dźwięk słów przeora spojrzeliśmy po sobie z lękiem. Pomyślałem, że winowajca za nic na świecie nie przyzna się do tego, co zrobił, wobec takiej deklaracji. Tym bardziej, że sprawca zrobił to w taki sposób, aby nikt się o nim nie dowiedział. Głupotą byłoby się teraz przyznać i tym samym wydać na siebie wyrok śmierci.

– Nie daruję wam tego życia! – dodał ze złością *padre* Torquemada. – Brat Armand był lepszy po stokroć od was wszystkich, więc go zabiliście! Bracie José, zamknij, proszę, furtkę klasztoru i przynieś mi klucz. Od tej chwili nikt nie opuści tych murów, aż poznamy prawdę.

Brat José posłusznie wykonał polecenie przeora. Kiedy wrócił i przekazywał mu klucz do furty, *padre* Torquemada wyciągnął po niego swoją chudą rękę. Pamiętam, że moją uwagę zwróciło, jak niesamowicie kościste i nienaturalnie długie, szponiaste rzekłbym nawet, miał palce. A może po prostu pod wpływem przeżyć dzisiejszego popołudnia i tego, co przed chwilą powiedział, wydawał mi się bardziej demoniczny niż normalnie? Nie wiem.

Jako nowicjusz przyzwyczajony byłem do myśli, że bracia dominikanie, mnisi, lepsi są niż ja. Także przebywanie z bratem Armandem utwierdzało mnie w tym przekonaniu, bo jemu przecież nikt nie dorównywał. Ale sądzę, że pozostali bracia niekoniecznie mieli takie kompleksy i z całą pewnością niezbyt miło było im usłyszeć z ust przeora, że są gorsi od wielkiego brata Armanda. *Padre* Torquemada nie powinien tak mówić, niezależnie od tego, co naprawdę sądził.

W pewnym momencie przeor podszedł do mnie i przeciągle na mnie spojrział. Zdrętwiałem na całym ciele i bałem się nawet oddychać. Starłem się ze wszech miar nie okazywać strachu, a samą tylko rozpacz i żal po śmierci jednego z nas. I chyba mi się to udało, bo przeor powiedział do mnie ciepło:

– Straciłeś dziś wielkiego mentora i prawdziwego przyjaciela, mój synu. Ale nie lękaj się, postaram się jak najszybciej wyznaczyć ci nowego patrona, choć zdaję sobie sprawę, że nic na świecie nie zrekompensuje ci tej straty. – Popatrzył na mnie smutno.

– Dziękuję, ojcze – powiedziałem cicho, pochylając pokornie głowę. – Dziękuję za troskę.

Przeor poszedł dalej, a ja odetchnąłem, przymykając na chwilę powieki. Dziwna rzecz, że nie przypomniał sobie o moich z bratem Armandem kłótniach, a mówił o naszych relacjach, jakby to była sielanka.

Kiedy przeor skończył już swój obchód, uklęknął przed zgłiszczami, odwiązał z węzła cingulum drewniany różaniec, którego dużymi, odkręcanymi paciorkami oplótł sobie ręce, a potem zaczął modlitwę:

– *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti!*<sup>22</sup> *Pater noster, qui es in caelis...*<sup>23</sup>

Za przeorem uklękliśmy wszyscy i wzięliśmy w dłonie nasze małe różańce. Dziwnie się czułem. Dotąd nienawidziłem szczerze mego mistrza, a w tamtej chwili naprawdę żał mi go było, że zginął tak potworną śmiercią. Przed kwadransem żył jeszcze, rozmawiał ze mną, a teraz me usta z dziwną gorliwością, o którą nigdy bym siebie nie posądzał, szeptały modlitwę o zbawienie jego duszy... A z pewnością dusza jego potrzebuje modlitwy!

I jakkolwiek wszystko, co wydarzyło się do tej chwili, było wystarczająco przerażające jak na jeden dzień, to jednak było zaledwie preludium do prawdziwego piekła. Preludium, którego nikt, naprawdę nikt się nie spodziewał. Odmawialiśmy właśnie drugi dziesiątek różańca, klęcząc wokół dymiących się jeszcze i wciąż gorących zgłiszcz, gdy naraz ciężko i z głuchym zgrzytem otwarły się masywne drzwi do kruchty kościoła i ukazał się w nich... brat Armand...

Przerwałem modlitwę w pół słowa i spojrzałem nań z otwartymi ustami. Klęczący najbliżej niego brat Constantino pobladł prawie do białości, jakby zobaczył ducha. Naprawdę był przerażony! Bo i widok był mrozący krew w żyłach: brat Armand opierał się o odrzwia. Miał zmierzwione włosy i osmaloną dymem twarz. Jego zaś zawsze śnieżnobiała kuta była w nieładzie, w wielu miejscach nadpalona lub rozerwana, szara od sadzy i czarnego dymu. Patrzył na nas z niechęcią. Przetarł dłonią twarz i słaniając się trochę, zaczął wolno iść w naszą stronę.

Niektórzy z braci podnieśli się z kolan, przeor zaś zerwał się na równe nogi i podszedł do powstałego z martwych mego mistrza i nie bacząc na jego strój, uściskał go z całych sił.

Wśród zgromadzonych przeszedł szmer. Wszyscy bracia porzucili modlitwę, a niektórzy spoglądali po sobie zdziwieni, z niedowierzaniem, szepcząc coś między sobą. Ścisnęło się we mnie serce na widok brata Armanda. W pierwszej chwili uczułem rozczarowanie – muszę to przyznać. Potem strach, bo przypomniałem sobie o chłoscie, którą mistrz, jak mniemałem, będzie chciał wykonać, znając jego żelazną i niezłamaną wolę. I dopiero po pewnej chwili przyszła radość z tego, że brat Armand żyje. Radość przepleciona z nienawiścią, ale w końcu jako przykładowy chrześcijanin powinienem miłować mego prześladowcę i kochać go jak

siebie samego. Do miłości dlań nie byłem i nie jestem w stanie się zmusić, ale przynajmniej starałem się cieszyć.

– Jak to możliwe? – szepnąłem do stojących obok mnie Juana i Alejandro.

– Nie mam pojęcia... – wyjąkał Juan, wpatrując się w mojego mistrza jak w żywy cud.

– Powinien nie żyć. – Alejandro wzruszył ramionami. – Z pułapki płonącej dzwonnicy nie było żadnej ucieczki... Nie rozumiem...

– Bracie Armandzie! Cały klasztor raduje się, żeś jest nadal wśród żywych! – powiedział przeor, gdy przestał już ścisnąć zmartwychwstałego mojego mistrza i odwrócił się do stojących nadal wokół zgłiszcz braci.

Popatrzyłem wśród zgromadzonych, ale jakoś nie zauważyłem owej wielkiej radości na ich twarzach. Dopiero po chwili do brata Armanda zaczęli podchodzić inni bracia: najpierw brat Constantino, potem brat Alvaro, brat José, brat Martin, brat Celestino, brat Santiago, oczywiście Ricardo i tak dalej.

I kiedy już zakończono powitania, a brat Armand uwolnił się od nieco chyba przesadzonych wybuchów radości, popatrzył na mnie. Do końca życia zapamiętam ten wzrok. Jego oczy wyzierały zza osmalonych powiek i były lodowate. Patrzył na mnie z nienawiścią, jakiej nigdy jeszcze u niego nie widziałem, a widziałem już całkiem sporo. Stał tak i wpatrywał się we mnie zimno i z niemym wyrzutem. Uśmiech i wszelka radość znikły w sekundę z mojej twarzy i zastanawiałem się, skąd u niego ten chłód. Bo przecież chyba nie... Chyba nie podejrzewa mnie o to podpalenie... Zadrżałem na tę myśl i chciałem od razu doń podejść, ale wówczas przemówił przeor:

– Bracie Armandzie, zamknąłem klasztorną furtę i zarządziłem śledztwo – powiedział, wodząc wzrokiem po nas wszystkich. – Do wieczora poznamy tego, który chciał cię zabić. Drodzy bracia! – zwrócił się do nas. – Może nie wszyscy wiecie o tajnym korytarzu łączącym dzwonnice i podziemia kościoła. W ziemi pod dzwonnice wykuto dawno temu przejście, które wiodło od krypt pod kościołem do fundamentów dzwonnicy. W jej podłodze był właz, dawno już nieużywany. Dzięki niemu brat Armand żyje. Podpalacz musiał o nim nie wiedzieć albo też liczył, że ofiara nie zdąży tamtędy uciec. I tylko on teraz wie, jak bardzo się mylił. Ale dowiemy się, kto to był. Tak jak zapowiedziałem: nikt z was nie opuści opactwa, aż sprawca się nie znajdzie – zakończył dumnie przeor.

Brat Armand przetarł dłonią oczy. Widać było po nim, że ta sytuacja musiała go przestraszyć. I dopiero wtedy dostrzegłem, że na prawej ręce ma nieduże oparzenie, podobnie jak na prawym przedramieniu, zaś rękaw kuty był w tym miejscu nadpalony. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak tą właśnie dłonią sięgał wśród płomieni do włazu w podłodze dzwonnicy prowadzącego do sekretnego korytarza.

– Dziękuję, ojcze przeorze, za troskę – powiedział cicho brat Armand. – Ale śledztwo jest zbyteczne. Ja wiem, kto to zrobił. – Spojrzył na mnie i wiedziałem już, że z całą pewnością oskarży mnie o ten zamach.

Otworzyłem usta, żeby mu powiedzieć, że to nie ja, ale głos uwiązał mi w gardle. Pokręciłem tylko głową. Słyszałem, jak bije mi serce...

– Nie... – Poruszyłem bezgłośnie ustami.

Ale brat Armand już szedł wraz z Torquemadą w moim kierunku.

– On myśli, że to ty... – szepnął zdziwiony Alejandro, ale nawet na niego nie spojrzełem.

Stałem jak sparaliżowany, przykuty do trawy i ziemi dziedzińca wzrokiem mego mistrza i strachem, co takiego zechce zrobić ze mną, przekonany o prawdziwości swych oskarżeń. Stałem tak, jakby mi nogi wrosły w podłogę, i żadną miarą nie mogłem się ruszyć. Patrzyłem tylko wystraszony na brata Armanda, który wnet stanął przede mną blisko wraz z przeorem, który pytająco spoglądał to na mnie, to na swego pupilka, nowo narodzonego spośród martwych...

Gdy podeszli, uderzył mnie silny zapach spalenizny i dopiero z tej odległości zobaczyłem po śladach na kucie brata Armanda, na włosach oraz po czerwonych, rumieniejących miejscach na twarzy i dłoniach, że bliżej był śmierci, niż początkowo sądziłem. Za to oczy jego świeciły często przeze mnie widywanym dawniej ogniem zemsty i nienawiści. Zawsze, ilekroć dochodziło pomiędzy nami do konfliktów lub gdy zarządzał karę, patrzył na mnie tak, jakby chciał zupełnie mnie zgniebić i pozbawić najmniejszego cienia szansy na ocalenie. I tym razem też miał taki wzrok. Zawiedziony, rozczarowany, smutny i żądny satysfakcji za zniewagę i obrazę, którą w jego pojęciu mu uczyniłem. Jego oczy palił ogień – dziwny, nie-naturalny, taki, co domagał się krwi i który być może tylko ta krew mogła ugasić. Patrząc na ściągnięte jego usta i kamienną, skostniałą w swej surowości i determinacji twarz, nie odważyłem się rozniecić w sobie złudzeń, że zaniecha zemsty.

– Powiedz mi, Antonio – brat Armand odezwał się do mnie głosem, w którym była złośliwość i olbrzymia pewność siebie – czy jesteś zadowolony ze zniszczeń, których dokonałeś? – Nie spuszczał ze mnie oczu.

Ja zaś nie przygotowałem się zupełnie na takie pytanie. Otworzyłem usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nie wiedziałem co. Patrzyłem więc tylko przerażony i kręciłem przecząco głową.

– Ja nie... – wyszeptalem całkowicie bezgłośnie.

– Ojciec – odezwał się stojący najbliżej nas Juan – to z pewnością nie Antonio. On nie mógłby tego zrobić.

– Milcz! – przerwał mu brat Armand lodowato, gromiąc go jednym spojrzeniem, które odbierało mowę. – Nie pytałem cię o zdanie. Twoje przekonania i sądy nas nie interesują.

A gdy Juan już się uciszył z miną skruszonego, upomnianego ucznia, brat Armand na powrót spojrzeł na mnie.

– Rozumiem, Antonio, że widok mojej osoby przy życiu tak cię rozczarował i zdziwił, że aż zaniemówiłeś. – Wydawało mi się, że mistrz nieznacznie się uśmiechnął, złośliwie.

– Ojciec, to nie ja! – prawie wykrzyknąłem, uwolniwszy swój głos spod przemożnego wpływu paraliżującego strachu. – Uwierz mi, że to nie ja.

– Widziałem cię pod dzwonnica, Antonio – przerwał mi mistrz. – Byłeś sam. I nie wzywałeś pomocy. – Pewność siebie, z jaką to mówił, i przekonanie

o słuszności swych słów ze wszech miar czyniły rzucane przez niego oskarżenie wiarygodnym.

– Przybiegłem, ojcze, gdy zobaczyłem ogień! – mówiłem szybko. – Chciałem cię ratować, ale dzwonnica płonęła już prawie cała, więc pomyślałem, że nie żyjesz. Byłem przerażony. Błagam, uwierz mi! – Łzy bezsilności ciekły mi po policzkach, gdy gorączkowo tłumaczyłem się ze swych poczynań, a raczej ich braku.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo, Antonio – podsumował moje nędzne wysiłki brat Armand tonem, wobec którego sprzeciw był daremny.

Wiedziałem już, że nie zmieni zdania. I wiedziałem, albo raczej zaczynałem przeczuwać, że tym razem nic mnie nie ocali przed jego zemstą.

– Drodzy bracia! – Brat Armand odwrócił się do zgromadzonych na dziedzińcu mnichów. – Oświadczam wam z całym przekonaniem, że Antonio Gabriel de Garcia chciał mnie zabić, podpalając w tym celu dzwonnice! Widziałem go, jak stał na dole i przyglądał się, jak płonie, a ja razem z nią! – Brat Armand popatrzył na zgromadzonych.

Chwyliłem go obiema dłońmi za przedramię.

– Ojcze, przysięgam, że to nie ja! – broniłem się coraz bardziej rozpaczliwie. – Nie ośmieliłbym się nigdy podnieść na ciebie ręki! Jesteś moim patronem! Mentorem! Tyle mnie uczysz! Musisz mi uwierzyć, błagam!

Ale brat Armand wyszarpnął rękę i spojrzał na mnie z pogardą.

– I dlatego mnie tak nienawidzisz? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź, dodał: – Myślę, że można otworzyć furtę klasztoru, ojcze przeorze. Oto mamy mordercę – zakończył z triumfem.

*Padre* Torquemada oddał klucz bratu José, który poszedł do klasztornej furty.

– Zarządzam areszt domowy dla Antonia! – ogłosił przeor, podnosząc rękę i uciszając zgromadzonych braci, którzy po słowach wypowiedzianych przez mego mistrza zaczęli półgłosem szeptać między sobą. – Antonio, zostaniesz zamknięty w swojej celi, dopóki nie zdecyduję, co będzie z tobą dalej. Zbrodnia, jakiej się dopuściłeś, przechodzi moje pojęcie! Nigdy nic podobnego nie miało miejsca w tym klasztorze. Mogę cię jednak zapewnić, że zostaniesz przykładownie ukarany. I nie przeze mnie. Być może oddamy cię w ręce władzy świeckiej, władnej karać na gardle za podobne uczynki. Wieczorem zaś odprawię mszę dziękczynną. Bóg w cudowny sposób uratował od śmierci brata Armanda i za to cały klasztor Mu podziękuje. – Przeor popatrzył na mnie swym zagładającym w głąb duszy, smutnym, przenikliwym spojrzeniem i dodał: – Jesteś mordercą, Antonio! Mordercą! – Po tych słowach odszedł kilka kroków w stronę swego gabinetu, ale zaraz zatrzymał się w pół kroku, jakby o czymś sobie przypomniał, o czymś ważnym i odwrócił się w naszą stronę: – Bracie Constantino i ty, bracie Martinie, odprowadźcie podejrzanego do jego celi i zamknijcie go. Potem przynieście mi klucz – dodał i tym razem już nie zatrzymując się, ruszył przez dziedziniec do swego gabinetu.

Odwróciłem się wystraszony w stronę mego mistrza, jakbym liczył, że temu zaradzi. Ale on patrzył na mnie z góry. Z wyrzutem, którego chyba nikt nie umiałby wyrazić słowami, tak był wielki. Z nienawiścią, która w środku musiała go palić

płomieniem sto razy gorszym od tych, które znane mi są na ziemi. I z wyższością, jakiej u niego jeszcze nie widziałem. Gardził mną i mym domniemanym przez niego, a niedoszłym uczynkiem. Jakże mną gardził!

Podeszli do mnie brat Constantino i brat Martin. Zaczęłam dygotać. Trzęsły mi się ręce. Brat Constantino, kładąc mi dłoń na plecach, drugą wskazał gestem, abyśmy ruszyli w stronę segmentu, gdzie znajdowała się moja cela. Obaj z bratem aptekarzem mieli smutne, zatroskane miny, ale brat Martin za plecami brata Constantino uśmiechnął się do mnie, jakby chciał dodać mi otuchy. Ale cóż on, biedny, mógł uczynić?

Zanim ruszyliśmy, Juan, Alejandro i Mateo uściskali mnie na pożegnanie, dając mi do zrozumienia, że wierzą w moją niewinność.

– Ojciec – zwróciłem się do brata Armanda na odchodnym – morderca jest wciąż na wolności. Uważaj zatem na siebie.

W ostatnim, przed osadzeniem w celi, spojrzeniu, jakie mu posłałem, widziałem, że się zmieszał. Odrobinę. Prawie niedostrzegalnie. Przez jego oczy przeszedł cień wątpliwości przez jedno mgnienie chwili. Zaraz potem wyraz ów znikł z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił, ale sama jego obecność, obecność wątpliwości w monolitycznym charakterze mego mistrza, była już mym zwycięstwem.

Ruszyliśmy do mojej celi. Brat Constantino zerkał co chwilę na mnie, aż w końcu zapytał:

– Antonio, co cię podkusiło, żeby podnieść rękę na brata Armanda? Na drugiego człowieka? Grozi ci za to kara śmierci albo więzienie dożywotnie o chlebie smutku i wodzie rozpaczy. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Bracie Constantino – wtrącił się brat aptekarz – nie wiadomo, co wykaże śledztwo. Antonio twierdzi, że to nie on podpalił dzwonnice, zatem chyba powinniśmy mu wierzyć? Zdecyduje i tak sąd.

– Nie podłożyłem ognia – powiedziałem z naciskiem. – Po co miałbym to robić?

– Bo bałeś się kary za ostatnią kłótnię z patronem. – Brat Constantino westchnął. – Bo swego patrona nienawidzisz, o czym ostatnio raczyłeś nas wszystkich poinformować krzykiem – dodał złośliwie.

– Teraz grozi mi gorsza kara – broniłem się. – Czy myślisz, ojciec, że chcąc uniknąć kary chłosty, skazałbym się na śmierć? Przecież to jest nielogiczne!

Stanęliśmy pod moją celą, a brat Martin otworzył drzwi, ja zaś wszedłem do środka.

– Logiczne czy nie, popełniłeś wielki grzech – skomentował obojętnie brat Constantino. – Módl się, aby Bóg ci przebaczył. Bo Jego kara po stokroć gorsza będzie od ziemskiej. – Dziwił mnie chłód w jego głosie, który brzmiał niemal ostentacyjnie.

Brat Constantino zamknął drzwi z głuchym trzaskiem i przekręcił w zamku klucz, zostawiając mnie samego i przerażonego z mym strachem i bezradnością.

Straszne, długie godziny samotności przesiedziałem w celi, rozprawiając w myślach przede wszystkim o tym, co mi zgotują tym razem. Rzecz jasna, zdaję



sobie sprawę, że próba zabójstwa to już nie jest zwykle nieposłuszeństwo czy arogancja, a nawet nie herezja. Zbrodnia zabójstwa karana jest śmiercią w Kastylii, a *padre* Torquemada bez wątpienia postara się u Królowej, aby wyrok był najwyższy. Zatem na pewno odbędzie się proces. To już nie przelewki. Ale domyślam się również, że oprócz kary kryminalnej, którą wyda świecki, miejski sąd w Segowii, ukarze mnie również przeor i brat Armand i z pewnością będą się obaj prześcigać w wymyślaniu mąk, jakim mnie poddadzą. Zapewne też relegują mnie z zakonu. Ojciec się wścieknie i być może zabije mnie pierwszy, zanim zrobi to sąd świecki. Żarty...

Potem jednak, gdy powoli opadały emocje i uspokajałem się, zacząłem myśleć bardziej racjonalnie. Bez względu na to, co sądził o mnie brat Armand i pozostali mnisi, ja najlepiej wiedziałem, że tego nie zrobiłem. Zatem prawdziwy morderca wciąż czyha na życie mego mistrza, a skoro raz podniósł na niego rękę, należy przypuszczać, że zrobi to znowu. Oczywiście musiałyby być idiotą, aby ponowić próbę teraz, gdy jestem w areszcie domowym, co od razu oczyściłoby mnie z zarzutów, ale w głębi serca liczyłem na to, że znów spróbuje. Nie dlatego, abym źle życzył bratu Armandowi, ile raczej chciałem i chcę wyjść na wolność. A nie znalazłbym lepszego alibi, jak tylko w kolejnej próbie zamachu na brata Armanda pod moją nieobecność na terenie klasztoru.

Zrobił to na pewno ktoś spośród nas i zastanawiałem się, kto się odważył, kto miał powód na tyle ważny, aby dlań zabić. Przebiegałem w myślach po sylwetkach wszystkich braci i nikt nie przychodził mi do głowy. Żaden motyw, sympatia lub jej brak dla mego mistrza nie wydał mi się na tyle silny, aby mógł doprowadzić kogokolwiek do takiej desperacji...

Myślałem o bracie Constantino, a w zasadzie on mimowolnie nasuwał się moim rozważaniom, bo jeśli nadal bolała go dawna decyzja przeora, miał motyw, aby się mścić. Tylko czy jest to powód, aby odebrać człowiekowi życie? Z drugiej strony tylko brat Constantino wiedział, jak bardzo został kiedyś skrzywdzony i czy ta krzywda warta była pozbawienia kogoś życia. Ale nawet mnie wydawało się to mało prawdopodobne, więc z pewnością jeszcze mniej prawdopodobne wyda się moim sędziom!

Prawda jest taka, że poza przeorem i Ricardo, no, może jeszcze Oscarem, nikt inny mego mistrza nie lubi. Oczywiście nikt mu tego nie daje do zrozumienia, może poza bratem Jorgem, który nie kryje i chyba wcale kryć nie chce swojej niechęci, oraz *padre* Domingo, który bratem Armandem jawnie gardzi, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie posądziłby o tę zbrodnię któregokolwiek z nich. Alejandro miał bez wątpienia żal do mego mistrza za chłostę i upokorzenie, ale jestem pewien, że nigdy nie podniósłby na nikogo ręki.

I byłem jeszcze ja, który otwarcie nie znosiłem brata Armanda i głośno mówiłem o swej dla niego nienawiści. Wielu braci z klasztoru, a może nawet wszyscy to słyszeli i wszyscy oni mogą zaświadczyć. Naturalnym więc jest, że mój mistrz pomyślał, że to ja podpaliłem dzwonnice. Widział mnie na dole, gdy wyszedł na galerijkę. Boże, jak ja mu wytłumaczę, że tego nie zrobiłem? Jakich użyć argumentów, by przekonać jego i przysły sąd? Co mam teraz zrobić?...

Boże, tak bardzo się boję... Dni, które przyjdą, i tego, co ze sobą przyniosą. Boże, błagam, niech ta sprawa szybko się wyjaśni, inaczej bracia naprawdę gotowi mnie wydać w ręce sądu świeckiego, a ten skaze mnie na śmierć...